



JOHN

GRISHAM

Raport Pelikana

Rozdział 1

Wydawał się niezdolny do wywołania takiego chaosu, ale można było go obarczyć odpowiedzialnością za znaczną część tego, co widział teraz u swoich stóp. I wcale mu to nie przeszkadzało. Miał dziewięćdziesiąt jeden lat, był sparaliżowany, przykuty do wózka i podłączony do respiratora. Drugi udar, którego doznał siedem lat temu, omal go nie uśmiercił, lecz Abraham Rosenberg wciąż żył i mimo rurek w nosie miał silniejszą pozycję niż pozostała ósemka. Był jedyną legendarną postacią, jaka pozostała w składzie sądu, a fakt, że nadal oddychał, budził poirytowanie większości zgromadzonego na dole tłumu.

Siedział w małym wózku inwalidzkim w gabinecie na parterze gmachu Sądu Najwyższego. Stopami dotykał ramy okna. Gdy hałas się nasilił, wyciągnął szyję. Nie znosił gliniarzy, ale widok zwartych i równych policyjnych szyków poprawiał trochę samopoczucie. Stali wyprostowani i nie ustępowali pola, gdy co najmniej pięćdziesięciotysięczny tłum głośno domagał się krwi.

— Takiego tłumu tutaj jeszcze nigdy nie było! — krzyknął do okna. Był prawie zupełnie głuchy. Jason Kline, jego starszy

sekretarz, stał za nim. Był pierwszy poniedziałek października, pierwszy dzień nowej sesji, i tego dnia tradycyjnie obchodzono wprowadzenie pierwszej poprawki do konstytucji. Obchodzono wspaniale. Rosenberg był zachwycony. Dla niego wolność słowa oznaczała wolność wszczynania zamieszek.

— Są tam Indianie? — zapytał głośno.

Jason Kline nachylił się do prawego ucha sędziego.

— Są!

— W barwach wojennych?

— Tak! W strojach bitewnych.

— Tańczą?

— Tak!

Indianie, czarni, biali, kolorowi, kobiety, geje, miłośnicy przyrody, aktywistki proaborcyjne, Aryjczycy, naziści, ateści, myśliwi, miłośnicy zwierząt, biali supremacjoniści, przeciwnicy płacenia podatków, drwale, farmerzy — całe morze manifestantów. A policjanci z oddziałów prewencji ściskali w rękach czarne pałki.

— Indianie powinni mnie kochać!

— I na pewno pana kochają. — Kline skinął głową i uśmiechnął się do słabowitego drobnego mężczyzny z zaciśniętymi pięściami. Jego ideologia była bardzo prosta: rząd ponad biznesem, człowiek ponad rządem, środowisko ponad wszystkim. A Indianom dać to, czego tylko zechcą.

Zakrzykiwanie mówców, modlitwy, śpiewy, skandowanie i wrzaski zrobiły się głośniejsze i policjanci zwarli szeregi. Tłum był większy i bardziej hałaśliwy niż w ostatnich latach, a sytuacja bardziej napięta. Przemoc stała się powszechnym zjawiskiem. W klinikach aborcyjnych podkładano bomby. Zatrudnieni w nich lekarze byli atakowani i bici. W Pensacoli jednego zakneblowano, związano w pozycji embrionalnej, obłano kwasem i zabito. Bójki na ulicach zdarzały się co tydzień. Wojowniczy geje profanowali kościoły i lżyli księży. Biali supremacjoniści działali w szeregach kilkudziesięciu znanych i nieznanym organizacjom paramilitarnym i coraz śmielej napadali

na czarnych, Latynosów i Azjatów. Demonstrowanie nienawiści było teraz ulubioną rozrywką.

A Sąd Najwyższy, rzecz jasna, stanowił łatwy cel. Od 1990 roku ilość gróźb, tych poważnych, pod adresem sędziów wzrosła dziesięciokrotnie. Policja strzegąca Sądu Najwyższego potroiła liczebność swoich szeregów. Do ochrony każdego sędziego przydzielono co najmniej dwóch agentów FBI, a kolejnych pięćdziesięciu zajmowało się śledztwami w sprawie pogroźek.

— Oni mnie nienawidzą, prawda? — powiedział głośno, patrząc przez okno.

— Owszem, niektórzy tak — odparł z rozbawieniem Kline.

Rosenberg lubił to słyszeć. Uśmiechnął się i wciągnął głęboko powietrze. Osiemdziesiąt procent śmiertelnych gróźb kierowano pod jego adresem.

— Widzisz którąś z tych tablic? — Sędzia był ślepy jak kret.

— Niejedną.

— Co jest na nich napisane?

— To co zwykle. „Śmierć Rosenbergowi”. „Przenieście Rosenberga w stan spoczynku”. „Odetnijcie mu tlen”.

— Od lat wymachują tymi samymi tablicami. Czemu nie sprawią sobie jakichś nowych, do cholery?

Sekretarz nie odpowiedział. Abe powinien był odejść na emeryturę wiele lat temu, ale będą musieli wynieść go kiedyś na noszach. Trzech jego sekretarzy wykonywało większość analiz badawczych, ale on uparcie sam pisał opinie. Robił to grubym mazakiem, gryzmołąc na białych kartkach notesu niczym uczący się pisać pierwszoklasista. W żółwym tempie, ale kto nominowany dożywotnio przejmuje się czasem? Sekretarze sprawdzali jego opinie i rzadko znajdowali w nich błędy.

Rosenberg zachichotał.

— Powinniśmy rzucić Indianom na pożarcie Runyana. — Runyan, twardy konserwatysta mianowany przez republikańskiego prezydenta, był przewodniczącym Sądu Najwyższego, znienawidzonym przez Indian i większość pozostałych mniejszości. Siedmiu spośród dziewięćdziesięciu sędziów

otrzymało nominacje od republikańskich prezydentów. Rosenberg przez piętnaście lat czekał na pojawienie się demokracji w Białym Domu. Chciał zrezygnować, musiał to zrobić, nie mógł jednak znieść myśli, że jego ukochane miejsce zajmie jakiś prawicowiec pokroju Runyana.

Mógł czekać. Mógł tu siedzieć w wózku, wdychać tlen i chronić Indian, czarnych, kobiety, ubogich, niepełnosprawnych i środowisko naturalne do czasu, aż skończy sto pięć lat. I nikt na całym świecie nic nie mógł na to poradzić; mogli go co najwyżej zabić. Co zresztą nie byłoby wcale złym pomysłem.

Głowa tego wielkiego człowieka opadła na ramię. Znowu zasnął. Kline odsunął się bezszelestnie i powrócił do swojej pracy w bibliotece. Miał wrócić za pół godziny, żeby sprawdzić działanie respiratora i podać Abe'owi tabletki.



Biuro przewodniczącego znajduje się na parterze i jest większe i bardziej wystawne niż biura pozostałych ośmiu sędziów Sądu Najwyższego. Gabinet zewnętrzny wykorzystywany jest na małe przyjęcia i oficjalne spotkania, a w wewnętrznym przewodniczący pracuje.

Drzwi do tego gabinetu były zamknięte, a w środku siedzieli Runyan, jego trzech sekretarze, kapitan policji sądowej, trzech agenci FBI oraz K.O. Lewis, zastępca dyrektora Federalnego Biura Śledczego. Panował nastrój autentycznej powagi, autentycznie też starano się ignorować hałas docierający z ulicy. Nie było to łatwe. Przewodniczący omawiał z Lewisem najnowszą serię śmiertelnych grózb, a wszyscy pozostali przysłuchiwali się ich rozmowie. Sekretarze robili notatki.

W ciągu ostatnich sześćdziesięciu dni FBI zarejestrowało ponad dwieście grózb, odnotowując nowy rekord. Oprócz zwyczajnych, typu „Wysadzić sąd!”, trafiało się wiele zawierających konkretne informacje — nazwiska sędziów, sprawy i rozstrzygane kwestie.

Runyan nie próbował ukryć zaniepokojenia. Opierając się na

poufnym zestawieniu z FBI, odczytał nazwiska ludzi i nazwy grup podejrzewanych o wystosowanie tych pogroźek. Klan, Aryjczycy, naziści, Palestyńczycy, czarni separatyści, homofoby, przeciwnicy aborcji. A nawet IRA. Wszyscy, jak się zdawało, oprócz rotarian i skautów. Jakieś wspierane przez Irańczyków bliskowschodnie ugrupowanie groziło rozlewem krwi na amerykańskiej ziemi w odwecie za śmierć dwóch ministrów sprawiedliwości w Teheranie, chociaż nie było absolutnie żadnych dowodów, że te zabójstwa mają związek ze Stanami Zjednoczonymi. Nowy krajowy oddział terrorystyczny o nazwie Armia Podziemna, który zyskał niedawno rozgłos, zabił sędziego sądu federalnego w Teksasie, wysadzając w powietrze jego samochód. Nikogo nie aresztowano, lecz AP wzięła na siebie odpowiedzialność za ten zamach. Terrorysty z AP byli również głównymi podejrzanyymi w kilkunastu zamachach bombowych na biura ACLU*, ale nie zostawiali żadnych śladów.

— A ci portorykańscy terrorysty? — zapytał Runyan, nie unosząc wzroku.

— To amatorzy. Nie budzą naszych obaw — odparł beztrzesko Lewis. — Grożą nam od dwudziestu lat.

— Cóż, może tym razem coś zrobią. Atmosfera temu sprzyja, nie sądzisz?

— Niech pan zapomni o Portorykańczykach, szefie. — Runyan lubił, gdy tak się do niego zwracano. Nie „przewodniczący” ani „panie przewodniczący”. Po prostu „szefie”. — Grożą, bo robią to wszyscy inni.

— Bardzo zabawne — zauważył szef bez cienia uśmiechu. — Bardzo zabawne. Bardzo bym nie chciał, by pominięto jakąś grupę. — Cisnął wykaz na biurko i pomasaował skronie. — Porozmawiajmy o sposobach ochrony. — Zamknął oczy.

K.O. Lewis położył swój egzemplarz zestawienia na biurku przewodniczącego.

— Dyrektor uważa, że powinniśmy przydzielić każdemu sędziemu czterech agentów, przynajmniej na najbliższe trzy miesiące. Do pracy i do domu będą jeździli limuzynami z

eskortą, a policja sądowa zapewni wsparcie i ochronę tego gmachu.

— A podróże?

— To nie jest dobry pomysł, przynajmniej na razie. Dyrektor uważa, że sędziowie powinni do końca roku pozostać w Waszyngtonie.

— Zwariowałeś? Czy on zwariował? Gdybym poprosił moich kolegów, by zastosowali się do tego życzenia, dziś wieczorem wszyscy wyjechaliby z miasta i podróżowali przez najbliższy miesiąc. To niedorzeczne. — Runyan spojrzął z marsową miną na swoich sekretarzy, którzy pokręcili z niesmakiem głowami. Naprawdę niedorzeczne.

Lewis nie przejął się tym. Mógł się spodziewać takiej reakcji.

— Jak pan sobie życzy. To tylko propozycja.

— Głupia propozycja.

— Dyrektor nie liczył na pańską współpracę w tej kwestii. Oczekiwałby jednak powiadomienia z wyprzedzeniem o wszystkich planach podróży, tak żebyśmy mogli przygotować ochronę.

— Mam rozumieć, że zamierzacie eskortować każdego sędziego, ilekroć będzie wyjeżdżał z miasta?

— Tak, szefie. Taki mamy zamiar.

— Spełnie na niczym. Ci ludzie nie są przyzwyczajeni do takiej opieki.

— Tak, proszę pana. Nie są też przyzwyczajeni do prześladowania. My po prostu staramy się ochronić pana i pańskich szanownych kolegów. Oczywiście nikt nie twierdzi, że musimy cokolwiek robić. Chyba to pan nas wezwał, ale jeżeli pan chce, możemy wyjść.

Runyan pochylił się w fotelu i zabrał do rozginania spinacza do papieru, próbując go idealnie wyprostować.

— A co z ochroną tutaj?

Lewis westchnął i powstrzymał uśmiech.

— O ten budynek się nie martwimy, szefie. Jest łatwy do ochrony. Tutaj nie spodziewamy się kłopotów.

— A gdzie się spodziewacie?

Lewis skinął głową w stronę okna.

— Wszędzie. Na ulicach aż roi się od idiotów, szaleńców i fanatyków.

— I oni wszyscy nas nienawidzą.

— Najwyraźniej tak. Niech pan posłucha, szefie, bardzo martwimy się o sędziego Rosenberga, który nadal nie wpuszcza naszych ludzi do swojego domu. Zmusza ich do siedzenia przez całą noc w samochodzie. Pozwala wprawdzie swojemu ulubionemu funkcjonariuszowi policji sądowej... jak on się nazywa? Ferguson... Jemu pozwala siedzieć przed drzwiami z tyłu domu, ale tylko od dziesiątej wieczorem do szóstej rano. Do środka nie wchodzi nikt oprócz sędziego Rosenberga i jego pielęgniarza. To miejsce nie jest bezpieczne.

Runyan dłużył sobie spinaczem pod paznokciami i uśmiechał się pod nosem. Śmierć Rosenberga, w każdym wypadku i z jakiegokolwiek powodu, zostałaaby przyjęta z ulgą. Nie, wróć, byłaby cudownym zrzędzeniem losu. Przewodniczący musiałyby się ubrać na czarno i wygłosić mowę pogrzebową, ale za zamkniętymi drzwiami chichotałyby z radości wraz ze swoimi sekretarzami. Spodobała mu się ta myśl.

— Co proponujesz?

— Może pan z nim porozmawiać?

— Próbowałem. Wyjaśniłem mu, że przypuszczalnie jest najbardziej znenawidzonym człowiekiem w Ameryce, że miliony ludzi przeklinają go co dnia, że większość chciałaby go widzieć martwego, że otrzymuje cztery razy więcej obraźliwych listów niż reszta z nas łącznie i że będzie doskonałym i łatwym celem potencjalnych zamachowców.

Lewis czekał na puentę.

— No i?

— Powiedział, żebym go pocałował w dupę, a potem zasnął.

Sekretarze zachichotali stosownie do okoliczności i wtedy agenci FBI zrozumieli, że demonstrowanie poczucia humoru nie jest zabronione, i szybko uderzyli w śmiech.

— Więc co mamy zrobić? — zapytał Lewis, któremu wcale nie było do śmiechu.

— Chronicie go najlepiej, jak umiecie, udokumentujcie to na piśmie i nie martwcie się tym. On się niczego nie boi, nawet śmierci, a skoro sam się nie przejmuje, to czemu wy mielibyście się przejmować?

— Dyrektor się przejmuje, więc ja też, szefie. To bardzo proste. Jeżeli jednemu z was stanie się krzywda, ucierpi na tym Biuro.

Przewodniczący zakołysał się w fotelu. Dolatujący zza okien harmider działał mu na nerwy. To spotkanie trwało już wystarczająco długo.

— Zapomnijcie o Rosenbergu. Może umrze we śnie. Bardziej martwię się o Jensena.

— Z Jensenem jest kłopot — rzekł Lewis, przewracając kartki raportu.

— Wiem o tym — odparł powoli Runyan. — Zachowuje się w żenujący sposób. Teraz uważa się za liberała. W połowie spraw głosuje tak jak Rosenberg. W przyszłym miesiącu będzie białym supremacjonistą i poprze segregację w szkołach. Potem zakocha się w Indianach i zapragnie oddać im Montanę. Niczym opóźnione w rozwoju dziecko.

— Leczy się z depresji.

— Wiem, wiem. Opowiada mi o tym. Jestem dla niego autorytetem. Jaki lek zażywa?

— Prozac.

Przewodniczący nadal dłubał sobie pod paznokciami.

— A ta instruktorka aerobiku, z którą się spotykał? Nadal z nią kręci?

— Niezupełnie, szefie. Myślę, że nie interesuje się kobietami.

— Lewis był z siebie zadowolony. Wiedział nie tylko to. Zerknął na jednego ze swoich agentów, szukając potwierdzenia tego pikantnego szczegółu.

Runyan go zignorował, nie chciał tego słyszeć.

— Współpracuje?

— Ależ skąd. Pod wieloma względami jest gorszy od Rosenberga. Pozwala, byśmy go eskortowali do budynku, w którym mieszka, po czym zmusza nas do sterczenia przez całą noc na parkingu. A przypominam, że jego mieszkanie jest siedem pięter wyżej. Nie możemy nawet usiąść w holu. Twierdzi, że to mogłoby denerwować jego sąsiadów. Siedzimy więc w samochodzie. Budynek ma pięć wejść i w ten sposób nie da się ochronić Jensena. Lubi się bawić z nami w chowanego. Stale się wykrada, nie wiemy więc, czy jest w budynku, czy go nie ma. W przypadku Rosenberga przynajmniej wiadomo, gdzie spędza noc. Jensen jest niepoprawny.

— To świetnie. Skoro wy nie potraficie go śledzić, jak zdołałby to zrobić zamachowiec?

Lewis nie pomyślał o tym. Nie dostrzegł komizmu sytuacji.

— Dyrektor bardzo niepokoi się o bezpieczeństwo sędziego Jensena.

— Przecież on nie dostaje aż tylu listów z pogrozkami.

— Jest szósty na liście, otrzymał zaledwie kilka mniej niż szanowny pan sędzia.

— O! Więc jestem na piątym miejscu.

— Owszem. Tuż za sędzią Manningsiem, który, nawiasem mówiąc, współpracuje. W pełni.

— On boi się własnego cienia — odparł przewodniczący i po krótkim wahaniu dodał: — Nie powinienem być tego mówić. Przepraszam.

Lewis puścił to mimo uszu.

— Tak naprawdę, współpraca układa się dość dobrze, jeśli nie liczyć Rosenberga i Jensena. Sędzia Stone psioczy, ile wlezie, ale nas słucha.

— On psioczy na wszystkich, więc nie bierzcie tego do siebie. Dokąd, waszym zdaniem, wymyka się Jensen?

Lewis zerknął na jednego ze swoich agentów i odparł:

— Nie mamy pojęcia.

Znaczna część tłumu nagle złączyła głosy w jeden niepowstrzymany chór i wydawało się, że przyłączyli się do

niego wszyscy zgromadzeni na ulicach. Przewodniczący nie mógł tego zlekceważyć. Szyby drżały. Wstał i oznajmił, że zebranie skończone.



Gabinet sędziego Glenna Jensena znajdował się na pierwszym piętrze, z dala od ulic i hałasu. Był przestronny, lecz najmniejszy z dziewięciu sędziowskich gabinetów. Jensen, jako najmłodszy członek Sądu Najwyższego, miał szczęście, że dostał własne biuro. Gdy sześć lat wcześniej, w wieku czterdziestu dwóch lat, otrzymał nominację, uważano, że jest ścisłym interpretatorem prawa o głęboko konserwatywnych przekonaniach, bardzo przypominających poglądy człowieka, który go powołał. O zatwierdzenie jego kandydatury w Senacie toczyła się ostra walka. Przed Komisją Sędziowską wypadł bardzo słabo. W kwestiach drażliwych siedział okrakiem na barykadzie i zbierał ciągi z obu stron. Republikanie byli zażenowani. Demokraci zwietrzyli szansę. Prezydent naciskał, aż złamał opór i Jensen przeszedł jednym głosem.

Ale dopiął swego, na dobre. W ciągu sześciu lat urzędowania nie zadowolili nikogo. Głęboko zraniony przesłuchaniami w Senacie, poprzysiągł wykrzesać z siebie współczucie i orzekać zgodnie z jego nakazami. To wywołało gniew republikanów. Poczuli się zdradzeni, zwłaszcza gdy odkrył w sobie utajony entuzjazm do praw przestępców. Wykazując brak skłonności do ideologii, szybko opuścił szeregi prawicy, przesunął się do centrum, a potem na lewo. Po czym, gdy uczeni prawnicy gładzili się po swoich kozich bródkach, błyskawicznie wrócił na prawicę i przyłączył się do sędziego Sloana w jednym ze swoich okropnie mizoginicznych zdań odrębnych. Jensen nie lubił kobiet. Był neutralny w kwestii modlitwy w szkołach, sceptyczny w kwestii wolności słowa, życzliwie nastawiony do przeciwników płacenia podatków, obojętny na żądania Indian, bał się czarnych, twardo zwalczał pornografię, łagodnie traktował przestępców i dość konsekwentnie opowiadał się za ochroną

środowiska. I ku dalszemu oburzeniu republikanów, którzy stoczyli zacieklą walkę o zatwierdzenie jego nominacji, przejawiał niepokojącą sympatię dla praw homoseksualistów.

Na jego życzenie przydzielono mu paskudną „sprawę Dumonda”. Ronald Dumond przez osiem lat mieszkał ze swoim kochankiem. Tworzyli szczęśliwą parę, całkowicie sobie oddaną i gotową dzielić życiowe doświadczenia. Chcieli się pobrać, ale prawo stanu Ohio nie zezwala na takie związki. Potem kochanek Dumonda zaraził się AIDS i zmarł okropną śmiercią. Ronald wiedział dokładnie, jak ma go pochować, lecz wskutek interwencji rodziny zmarłego został wykluczony z udziału w ceremonii pogrzebowej. Zrozpaczony, pozwał rodzinę kochanka, żądając odszkodowania za krzywdy emocjonalne i psychiczne. Sprawa przewijała się przez sądy niższych instancji przez sześć lat i teraz nagle trafiła na biurko Jensena.

Chodziło o prawa „małżonków” gejów. Nazwisko Dumond stało się zawołaniem bitewnym gejowskich aktywistów. Sama wzmianka o nim wywoływała starcia uliczne.

I Jensen dostał tę sprawę. Drzwi do jego niewielkiego gabinetu były zamknięte. Razem z trzema swoimi sekretarzami siedział przy stole konferencyjnym. Poświęcili „sprawie Dumonda” dwie godziny i do niczego nie doszli. Byli zmęczeni ciągłymi sporami. Jeden sekretarz, liberał z Uniwersytetu Cornella, żądał wyraźnego orzeczenia przyznającego szerokie prawa gejowskim partnerom. Jensen też tego chciał, ale nie był skłonny się do tego przyznać. Dwaj pozostali sekretarze podchodzili do sprawy sceptycznie. Wiedzieli, podobnie jak Jensen, że uzyskanie poparcia większości będzie niemożliwe.

Rozmowa zesłała na inne tematy.

— Przewodniczący jest na ciebie wkurzony, Glenn — rzekł sekretarz, absolwent Uniwersytetu Duke’a. W sędziowskim gabinecie zwracali się do niego po imieniu. „Sędzia” był bardzo niezręcznym tytułem.

Glenn potarł oczy.

— To żadna nowość. Macie coś jeszcze?

— Jeden z jego sekretarzy poinformował mnie, że przewodniczący i FBI martwią się o twoje bezpieczeństwo. Twierdzi, że nie współpracujesz i że jego szef jest dość poważnie zaniepokojony. Chciał, żebym ci to przekazał. — W Sądzie Najwyższym wszystko przekazywano za pośrednictwem sekretarzy. Wszystko bez wyjątku.

— Powinien się niepokoić. To jego obowiązek.

— Chce ci przydzielić dwóch następnych agentów do ochrony osobistej, a oni chcą mieć dostęp do twojego mieszkania. A FBI ma cię wozić z domu do pracy i z powrotem. Masz też ograniczyć częstotliwość swoich podróży.

— Już to słyszałem.

— Tak, wiemy o tym, ale sekretarz powiedział, że Runyan pragnie przekonać cię do współpracy z FBI, żeby mogli uratować ci życie.

— Rozumiem.

— Tak więc teraz po prostu cię przekonujemy.

— Dzięki. Wracajcie do swoich kolegów i powiedzcie sekretarzowi przewodniczącego, że nie dość, że mnie przekonywaliście, to jeszcze zrobiliście mi piekło, a ja byłem wdzięczny za to przekonywanie i za to piekło. Tyle że to wszystko weszło jednym uchem i wyszło drugim. Powiedzcie im, że Glenn uważa, że jest dużym chłopcem.

— Oczywiście. Nie boisz się, prawda?

— Ani trochę.

Rozdział 2

Thomas Callahan należał do najpopularniejszych profesorów Uniwersytetu Tulane'a, głównie dlatego, że nie prowadził zajęć przed jedenastą rano. Za kołnierz nie wylewał, podobnie jak większość jego studentów, i pierwszych godzin każdego ranka potrzebował na sen, a potem na reanimację. Wyznaczanie zajęć na dziewiątą i dziesiątą jest niegodziwością. Popularność zawdzięczał również temu, że był wyluzowany — sprane dżinsy, tweedowe marynarki z wytartymi łatami na łokciach, żadnych skarpet, żadnych krawatów. Szykowny styl uniwersyteckiego liberała. Miał czterdzieści pięć lat, ale z ciemnymi włosami i okularami w rogowej oprawie można go było wziąć za trzydziestopięciolatka, co nie znaczyło, że przejmował się choć trochę tym, na ile lat wygląda. Golił się raz w tygodniu, gdy zaczynała go swędzić twarz; a kiedy — rzecz rzadka w Nowym Orleanie — robiło się chłodno, zapuszczał brodę. Miał na swoim koncie intymne kontakty ze studentkami.

Popularności przysparzał mu także fakt, że wykładał prawo konstytucyjne, przedmiot najmniej popularny, ale obowiązkowy. Swą błyskotliwością i luzem sprawiał, że prawo konstytucyjne

było wręcz interesujące. Nikt inny na wydziale nie potrafiłby tego dokonać. Tak naprawdę nikt nie chciał, więc studenci walczyli o miejsce na wykładach Callahana o jedenastej, trzy razy w tygodniu.

Osiemdziesięcioro z nich siedziało w sześciu rzędach w amfiteatralnej sali i szeptało do siebie, gdy Callahan stał przed biurkiem i przecierał szkła okularów. Było dokładnie pięć po jedenastej. Wciąż zbyt wcześnie, pomyślał.

— Kto rozumie zdanie odrębne Rosenberga w sprawie Nash przeciwko stanowi New Jersey?

Wszyscy pochylili głowy i w auli zapadła cisza. To pewnie z powodu paskudnego kaca. Miał zaczerwienione oczy. Gdy zaczynał od Rosenberga, wykład zazwyczaj miał burzliwy przebieg. Nikt nie zgłosił się do odpowiedzi. Nash? Callahan powoli i metodycznie sunął wzrokiem po sali i czekał. Głucha cisza.

Rozległ się głośny szcęk klamki i napięcie osłabło. Drzwi otworzyły się szybko i atrakcyjna młoda kobieta w obcisłych spranych dżinsach i bawełnianym swetrze wślizgnęła się z gracją na salę i jakby przemknęła wzdłuż ściany do trzeciego rzędu. Tam, zręcznie manewrując między fotelami, dotarła do swojego miejsca i usiadła. Faceci w czwartym rzędzie patrzyli na nią z zachwytem. Ci w piątym wyciągali szyje, żeby zerknąć. Od dwóch lat jedną z niewielu przyjemności na wydziale prawa było obserwowanie, jak ozdabia uczelniane korytarze i sale swoimi długimi nogami i wyciągniętymi swetrami. Wiedzieli, że pod nimi kryje się wspaniałe ciało. Ale ona nie była dziewczyną skłoną się nim popisywać. Była po prostu jedną z paczki i nosiła przepisowy strój studentów prawa, złożony z dżinsów, flanelowych koszul i starych swetrów oraz za dużych kurtek khaki. Ileż by dali, żeby włożyła minispódniczkę z czarnej skóry.

Posłała przelotny uśmiech siedzącemu obok niej studentowi i na chwilę wszyscy zapomnieli o Callahanie i pytaniu o Nasha. Ciemnorude włosy sięgały jej dokładnie do ramion. Przypominała

śliczną cheerleaderkę z idealnymi zębami i idealnymi włosami, w której każdy chłopak zakochał się co najmniej dwa razy w szkole średniej. I chyba co najmniej raz podczas studiów na wydziale prawa.

Callahan nie zwracał uwagi na jej wejście. Gdyby była studentką pierwszego roku i gdyby się go bała, pewnie napadłby na nią i nakrzyczał. „Adwokat nigdy nie spóźnia się na rozprawę!” — powtarzali od wieków, aż do znudzenia, profesorowie prawa.

On nie był jednak w nastroju do krzyków, a Darby Shaw nie bała się go i przez ułamek sekundy wykładowca zastanawiał się, czy ktoś wie, że ze sobą sypiają. Prawdopodobnie nikt. Darby nalegała, by utrzymać ich romans w całkowitej tajemnicy.

— Czy ktoś czytał zdanie odrębne Rosenberga w sprawie Nash przeciwko stanowi New Jersey?

Nagle znowu znalazł się w centrum uwagi i znowu zapadła głucha cisza. Podniesienie ręki mogło oznaczać maglowanie przez następnych trzydzieści minut. Ochotników nie było. Palacze w ostatnim rzędzie zapalili papierosy. Większość z osiemdziesięciorga gryzmoła coś nie wiadomo po co w notatnikach. Wszyscy mieli pochylone głowy. Przerzucanie kartek zbioru orzeczeń w poszukiwaniu sprawy Nasha rzucałoby się w oczy i było zbyt ryzykowne, i w dodatku spóźnione. Każdy ruch mógłby zwrócić uwagę wykładowcy. I tak za chwilę ktoś zostanie przyparty do muru.

Sprawy Nasha nie było w zbiorze orzeczeń. Należała do kilkunastu drobnych casusów, o których Callahan wspomniał w pośpiechu przed tygodniem, i teraz chciał sprawdzić, czy ktoś go przestudiował. Słyszał z takich zabiegów. Egzamin końcowy u niego obejmował tysiąc dwieście spraw, z których tylko dwieście omówiono w zbiorze orzeczeń. Egzamin był koszmarem, ale Callahan tak naprawdę miał miękkie serce, oceniał łagodnie i trzeba było być wyjątkowym matolem, żeby oblać.

W tym momencie nie sprawiał wrażenia człowieka o miękkim

sercu. Rozejrzał się po auli. Czas wybrać ofiarę.

— Co pan na to, panie Sallinger? Może pan objaśnić zdanie odrębne Rosenberga?

— Nie, panie profesorze — odpowiedział natychmiast student z czwartego rzędu.

— Rozumiem. Czyżby dlatego, że go pan nie przestudiował?

— Nie, panie profesorze.

Callahan spojrział na niego piorunującym wzrokiem. Zaczerwienione oczy sprawiły, że grymas niezadowolenia na jego twarzy wyglądał jeszcze bardziej złowieszczo. Widział go jednak tylko Sallinger, ponieważ wszyscy inni utkwili spojrzenia w swoich notatnikach.

— A to czemu?

— Ponieważ staram się nie studiować zdań odrębnych. Zwłaszcza tych Rosenberga.

Dureń do kwadratu. Sallinger postanowił stawić opór, ale brakowało mu amunicji.

— Ma pan coś przeciwko Rosenbergowi?

Callahan szanował Rosenberga. Otaczał go czcią. Czytał książki o nim i o jego poglądach. Studiował jego orzeczenia. Kiedyś nawet zjedli razem kolację.

Sallinger wiercił się nerwowo.

— Ależ nie, panie profesorze. Po prostu nie lubię zdań odrębnych.

W odpowiedziach Sallingera było trochę poczucia humoru, ale twarz wykładowcy nie rozjaśniła się uśmiechem. Później, przy piwie, on i jego kumple ryczeli ze śmiechu, gdy opowiadał o Sallingerze i jego antypatii do zdań odrębnych, zwłaszcza Rosenberga. Ale teraz zachowywał powagę.

— Rozumiem. A studiuje pan opinie prawne większości?

Chwila wahania. Nieudolna próba słownego pojedynku z profesorem miała za moment zakończyć się upokorzeniem Sallingera.

— Tak, panie profesorze, bardzo często.

— Świetnie. Niech pan zatem wyjaśni z łaski swojej opinię

większości w sprawie Nash przeciwko stanowi New Jersey.

Sallinger nigdy nie słyszał o sprawie Nasha, ale teraz miał ją zapamiętać na resztę swojej prawniczej kariery.

— Tej chyba nie czytałem.

— A więc nie czyta pan zdań odrębnych, teraz zaś dowiadujemy się, że lekceważy pan również opinie większości. Co w takim razie pan czyta? Romanse, artykuły w brukowcach?

Gdzieś za czwartym rzędem rozległ się bardzo cichy śmiech. Wydobył się z ust studentów, którzy nie mogli powstrzymać wybuchu wesołości, a zarazem nie chcieli zwracać na siebie uwagi.

Sallinger, czerwony jak burak, tylko gapił się na Callahana.

— Czemu nie przestudiował pan tej sprawy, panie Sallinger?

— Sam nie wiem. Chyba po prostu ją przeoczyłem.

Callahan przyjął to ze spokojem.

— Nie jestem zaskoczony. Wspomniałem o niej w zeszłym tygodniu. Dokładnie w zeszłą środę. Ten temat będzie na egzaminie końcowym. Nie rozumiem tylko, dlaczego zignorował pan casus, który pojawi się w pytaniach na egzaminie. — Przechadzał się teraz powoli przed biurkiem, patrząc na swoich studentów. — Czy ktoś raczył go przestudiować?

Cisza. Wykładowca wbił wzrok w podłogę i pozwolił, by ta cisza dzwoniła w uszach. Wszyscy spuścili oczy, wszystkie pióra i ołówki zastygły w bezruchu. Z ostatniego rzędu snuł się dym papierosowy.

W końcu, powoli, siedząca w trzecim rzędzie Darby Shaw podniosła nieznacznie rękę i cała aula odetchnęła z ulgą. Znowu ich uratowała. Właściwie to tego od niej oczekiwano. Niewiele ustępując najlepszemu studentowi w ich grupie, potrafiła sypać faktami, nazwami holdingów, przykładami zbieżności poglądów, zdań odrębnych i opinii większości w praktycznie każdej sprawie, o jaką Callahan mógłby ich zapytać. Dostrzegała każdy szczegół. Doskonała cheerleaderka ukończyła z wyróżnieniem studia na wydziale biologii i zamierzała tak samo ukończyć studia prawnicze, a potem dobrze zarabiać, pozywając koncerny

chemiczne za zanieczyszczanie środowiska.

Callahan patrzył na nią z udawanym poirytowaniem. Trzy godziny wcześniej wyszła z jego mieszkania po długiej nocy spędzonej na dyskusjach prawnych przy winie. Nie wspominał w nich jednak o sprawie Nasha.

— Proszę, proszę, panno Shaw. Dlaczego Rosenberg jest zaniepokojony?

— Uważa, że ustawa stanowa narusza drugą poprawkę do konstytucji. — Darby nie patrzyła na profesora.

— Dobra odpowiedź. Przez wzgląd na resztę grupy proszę wyjaśnić, co ta ustawa powoduje.

— Zakazuje, między innymi, posiadania broni półautomatycznej.

— Znakomicie. I żeby nie psuć jeszcze zabawy, co Nash posiadał w momencie swojego aresztowania?

— Karabin szturmowy AK-czterdzieści siedem.

— I co się z nim stało?

— Został skazany na trzy lata i wniósł apelację. — Znała szczegóły sprawy.

— Czym zajmował się Nash?

— W zdaniu odrębnym tego nie określono, wspomniano jednak o dodatkowym zarzucie handlu narkotykami. W momencie aresztowania Nash nie był notowany w rejestrze karnym.

— A więc był handlarzem narkotyków posiadającym kałasznikowa. Ale w Rosenbergu znalazł sprzymierzeńca, nieprawdaż?

— Oczywiście. — Teraz patrzyła na niego. Napięcie osłabło. Większość zebranych wodziła oczami za Callahanem, gdy chodził powoli, rozglądając się po sali, by wybrać kolejną ofiarę. Darby najczęściej dominowała w dyskusjach na jego wykładach i Callahan potrzebował szerszego grona dyskutantów.

— Jak sądzicie, dlaczego Rosenberg się z nim solidaryzuje?

— Uwielbia dealerów. — To był Sallinger, zraniony, ale próbujący odzyskać pole. Callahan cenił dyskusje na zajęciach.

Uśmiechnął się do swojej ofiary, jakby chciał go zachęcić do zacieklego sporu.

— Tak pan sądzi?

— Oczywiście. Dealerzy narkotyków, pedofile, przemytnicy broni, terroryści. Rosenberg zachwyca się takimi ludźmi. To jego słabe i wykorzystywane dzieci, musi więc ich chronić. — Sallinger starał się dać wyraz swojemu słusznemu oburzeniu.

— A co, zgodnie z pana uczoną opinią, należy robić z tymi ludźmi?

— To proste. Powinni mieć uczciwy proces i obrońcę w postaci dobrego adwokata, a potem szybki i uczciwy proces apelacyjny, po nim zaś ponieść karę, jeżeli są winni. — Sallinger w swoich wypowiedziach niebezpiecznie przypominał prawnicowego zwolennika prawa i porządku, co było kardynalnym grzechem popełnianym przez studentów Uniwersytetu Tulane'a.

Callahan skrzyżował ręce na piersi.

— Proszę kontynuować.

Sallinger wyczuł pułapkę, ale brnął dalej. Nie miał nic do stracenia.

— Chodzi mi o to, że studiowaliśmy kolejne casusy, w których Rosenberg próbował napisać konstytucję na nowo, by stworzyć kolejną furtkę pozwalającą wykluczyć dowody winy i uwolnić od niej oskarżonych w oczywisty sposób odpowiedzialnych za zarzucane im czyny. To obrzydliwe. On uważa, że zamykanie w więzieniach jest rzeczą okrutną i niesłychaną, i dlatego na mocy ósmej poprawki wszyscy więźniowie powinni wyjść na wolność. Na szczęście jest w mniejszości, w kurczącej się mniejszości.

— Podoba się panu dyrektywa Sądu Najwyższego, prawda, panie Sallinger? — Callahan uśmiechał się i równocześnie marszczył czoło.

— Cholernie mi się podoba.

— Należy pan do tych normalnych, pełnokrwistych, miłujących ojczyznę Amerykanów o umiarkowanych poglądach, którzy pragną, by ten stary drań umarł we śnie?

W auli rozległo się kilka chichotów. Śmiech nie był już tak ryzykowny. Sallinger miał dość oleju w głowie, by skłamać w odpowiedzi.

— Tego nie życzyłbym nikomu — rzekł niemal z zażenowaniem.

Callahan znowu zaczął chodzić.

— Cóż, dziękuję, panie Sallinger. Zawsze lubię słuchać pańskich komentarzy. Jak zwykle, zapoznał pan nas z opinią laika o prawie.

Śmiech zabrzmiał teraz znacznie głośniej. Sallinger spłonął rumieńcem i zagłębił się w fotelu.

Callahan nie uśmiechał się.

— Chciałbym podnieść poziom intelektualny tej dyskusji. A pani zdaniem, panno Shaw, czym Rosenberg kieruje się w swojej solidarności z Nashem?

— Druga poprawka zapewnia ludziom prawo do posiadania i noszenia broni. Dla sędziego Rosenberga to prawo jest jednoznaczne i niczym nieograniczone. Niczego nie należy zakazywać. Skoro Nash chce posiadać karabin AK-czterdzieści siedem, granat ręczny albo bazookę, to stan New Jersey nie może uchwalić prawa, które tego zabrania.

— Zgadza się pani z tym?

— Nie, i nie jestem jedyna. Decyzja zapadła stosunkiem głosów osiem do jednego. Nikt go nie poparł.

— Jakie były przesłanki decyzji pozostałych ośmiu sędziów?

— To naprawdę oczywiste. Władze stanowe mają istotne powody, by zakazywać sprzedaży i posiadania pewnych typów uzbrojenia. Interesy stanu New Jersey przeważają nad prawami pana Nasha, gwarantowanymi drugą poprawką do konstytucji. Społeczeństwo nie może pozwolić jednostkom na posiadanie takiej broni.

Callahan przyjrzał się jej uważnie. Atrakcyjne studentki prawa były tutaj rzadkością, ale gdy już się taka trafiała, szybko wkraczał do akcji. W ostatnich pięciu latach miał na koncie spore sukcesy. Na ogół odnosił je z łatwością. Kobiety

przychodziły na studia prawnicze jako osoby wyzwolone i rozwiąże. Darby była inna. Po raz pierwszy spostrzegł ją w bibliotece podczas drugiego semestru jej studiów i potrzebował miesiąca, żeby zaprosić ją na kolację.

— Kto jest autorem opinii większości? — zapytał.

— Sędzia Runyan.

— I zgadza się pani z nim?

— Tak. To tak naprawdę prosta sprawa.

— Co w takim razie stało się Rosenbergowi?

— Myślę, że nienawidzi pozostałych sędziów Sądu Najwyższego.

— Więc składa zdanie odrębne z czystej przekory?

— Często tak. Jego opinie stają się coraz trudniejsze do obrony. Weźmy sprawę Nasha. Dla liberała, takiego jak Rosenberg, kwestia kontroli dostępu do broni jest prosta. Powinien był napisać opinię większości i tak by zrobił dziesięć lat temu. W sprawie Fordice przeciwko stanowi Oregon z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku przyjął znacznie węższą interpretację drugiej poprawki. Przykłady jego niekonsekwencji budzą niemal zażenowanie.

Callahan zapomniał o sprawie Fordice'a.

— Sugeruje pani, że sędzia Rosenberg jest dzieciniałym starcem?

Niczym dotknięty encefalopatią bokser, Sallinger przystąpił do ostatniej rundy.

— Nie da się obronić jego opinii. Jest kompletnym świrem, i pan o tym wie.

— Nie zawsze, panie Sallinger, ale przynajmniej jest w stanie...

— Ciałem tak, ale w stanie śmierci mózgowej.

— On oddycha, panie Sallinger.

— Owszem, z pomocą respiratora. Muszą mu tłoczyć do nosa tlen.

— Ale to nie zmienia postaci rzeczy, panie Sallinger. To ostatni z wielkich reformatorów prawa i nadal żyje.

— Radziłbym zadzwonić i się upewnić — odparł Sallinger cichnącym głosem. Dosyć już powiedział. Nie, powiedział za dużo. Pochylił głowę, gdy profesor spiorunował go wzrokiem. Skulił się nad swoim notesem i zaczął zastanawiać, po co to wszystko mówił.

Callahan spojrział na niego, po czym znowu zaczął chodzić. Miał naprawdę paskudnego kaca.